Rozmaitości

Dnia 24. Czerwca **Nr 25.** 1837 Roku.

KWESTYJA
O WILCZY-DOŁEK.
Wydarzona w r. 1706.
Z księgi, pod nazwą Wilia, wypisał
JADAM Z ZATORA.

(Dokończenie.)

Cicho zajechali przed bramę Frydrychowskiego podwórza. Chebda nakazał woźnicy, aby bez wrzawy dojeżdżał, a broń Boże z bata nie trzaskał. U bramy wysiedli obaj. Jezierski acz staruszek, wspierał młodszego Chebdę, który dla bolu w nodze ledwie stąpać mógł. Już takato była natura u niego, że byle miał frasunek jaki, jużci i podagra wracała, a z nią okropne bole. W tej chwili czuł najokropniejsze, przecież by kęs nie stęknął, ani cyknął. Stary Jezierski, co go znał właśnie jako siebie samego, poznał od razu, że biédaczysko cierpi, obiema rękoma wspierał go, a pomagał idącemu. »Boli noga znowu?« zapytał.

»Co tam noga! głupstwo; tu w sercu gorzéj dolega,« odrzekł biédak.

Milczkiem przeszli wedle kuchni, gdzie duży płomień palił się na ognisku i wrzawa była, snać czeladź wszystka tam zebrana gwarzyła, jakto bywa w nadzwyczajnych wypadkach. Za lipami dworzec stał taki cichy i ciemny, właśnie jakby obumarły.

Jakie tam bicie serca było, jaka żałość w duszy, kiedy przyszło wstąpić do tego żałobnego domu! Okropna cichota wszędzie zgrozą przejmowała wskróś.

Minęli sień, izbę jednę i drugą, dopiéro spostrzegli światełko, wychodzące nie dobrze zawartemi drzwiami z komory ostatniéj.

Z cicha odchyliwszy drzwi, stanęli w progu obadwaj, Chebda i Jezierski, i obaj otruchleli na widok wyciągniętego na łożu trupa.

Jezierski starzec zapłakał jak dziecko.

Chebda żegnając się, ukląkł w progu.

Ach! jakito był widok dla patrzących; ten na środku izby wysunięty tarczan, na nim Frydrychowski nieruchomy, jak postać marmurowa na nagrobku, oczy zamknięte, a czoło siwizną opasane, gdyby śnieżnym wieńcem, spokojne, właśnie jak i serce leżącego, które bić przestało; w rękach, na krzyż założonych, paciorki i krucyfiks. Dwie gromnice na wysokich lichtarzach, jedna z prawéj, druga z lewéj strony trupa, a przy nogach tegoż klęczący, płaczący, jęczący syn.

Kto nie widział jakiém sercem ten synek młodziuchny miłował swego ojca, oby był przyszedł natenczas, a patrzał na oną gorzką żałość, płacz i rąk łamanie, oby był słyszał jego przerażający głos, w którym wszystkie boleści, i wszystkie siły życia zdawały się być skupione, i wołały do ciała leżącego, w którém nie było już duszy, w którém nie było już tego, co go kochało — serca.

W tym wołającym głosie rozpaczy, te jedne były słowa: »O mój ojcze! mój ojcze! o mój ojcze!! drogi mój ojcze!... O Boże! ty Boże! mój ojciec... drogi mój, kochany mój, najserdeczniejszy mój!... Nie słyszy mnie, nie widzi mnie... o Boże! Boże!«

I obiema rękami drgającemi chwycił się głowy, rwał sobie włosy, jęczał, twarzą wciskał się, tarzał się w słomie, którą wysłany był tarczan.

Litością wiedziony stary Jezierski przystąpił do sierotki, chwycił go za rękę i przemówił jakieś słowo po cichu.

Młodzian spojrzał na starca z takim wyrazem właśnie, jakby go o coś prosił. Alić ledwieco spostrzegł klęczącego Chebdę, wydał

krzyk przeraźliwy, skoczył po pistolet jakiś zardzewiały, który na ścianie tam wisiał nad kanapą.

»Ty, ty morderco!« zawołał, »pójdź tu;« i chwycił go za rękę, »pójdź tu!« i przywlókł go do trupa. »Patrz, patrz!« i odsunął płócienne nakrycie, i odsłonił skrwawione piersi trupa. »O Boże!... a ja mu przebaczyć mam? On zabił mi ojca. O mój ojcze, mój ojcze! jakiś ty dobry był do ostatniego momentu; pocieszał mię, że to nic, że z téj rany nie umrze. O Boże! a ja mu przebaczyć mam. Chebdo, ty zły człowieku, odejdź; odejdź ztąd... zapomnę się... oczy ci wydrę, morderco!«

Nie będę tu opisywał onych męczarń i zgryzoty sumienia, przez które przechodził Chebda w cierpieniach dusznych; przytępiało i czucie na cierpienia cielesne. Ale gdy przyszło wstać i do kolasy się dostać, dopiero odezwał się ból w nodze srogi, iż omal nie stracił zupełnéj przytomności.

Przyjechawszy do domu, zaniesiony został na łóżko, i nie jeden tydzień w niém przeleżał.

* * *

Trzebaż tedy, jakto bywa, chorego nawiedza to ten, to ów; przybył ci do Chebdy przyjaciel, niejaki pan Czerny, susceptant ziemski zatorski. Człowiek ten drobnego wzrostu, na podobieństwo onego króla Łokietka, zadzierał jednak nosa; mianowicie kiedy miał z tobą czynność jaką; słowem, był on jednym z tych, co to u nich więcéj powagi, jak wagi. Ale że dobre serce miał, tego i sam nieprzyjaciel ująć mu nie mógł, zwłaszcza z kim w przyjaźni żył.

Przywitał go gospodarz, dziękując, iż smutne jego łoże raczył *serenare prezencyją* swoją.

Pan susceptant odrzekł na to komplementem: »Że sobie za szczęście to poczytuje, *inter penates* domu jego, godne *numen* gospodarza, nie tylko oglądać, ale *cum omni sensu* powinnéj *adoratii* oddać temuż *honor*, który sam *in persona* składa w progach jego.« Daléj dodał: »Jak skoro żałobne doleciało go echo smutnéj nowiny o chorobie wpana brata, nie chciał *praeterire* téj *okazyi* niesienia z *condolencyją renovationem* braterskich ku niemu afektów; atoli *acumulatia* czynności *magnae importantiae*, życzeniom jego tamę, a *sperato gaudio* sprawiły *alienacyją*.«

Po takiém wynurzeniu *sentymentów* braterskiego przyjacielstwa, pan susceptant przysunął sobie krzesło bliżéj łoża, a troskliwie obejrzawszy się, żali kto nie podsłuchuje, napomknął, iż ma do powierzenia *arcanum magni ponderis*.

»*Notabene*,« rzecze, »*questionis* tajemnica, tycząca się blizko pana Chebdy, ma pozostać pod pieczęcią wiecznego milczenia. Odkrycie onéj ściągnęłoby *magnam responsalitatem* na jego *personę*.«

Chebda przyrzekł, iż nie zawiedzie położonego w nim zaufania; poczém pan susceptant opowiedział interes cały, ktory był ten: iż *anonimus* jakiś uczynił do grodu zaskarzenie na Chebdę, czyniąc *relacyję*, że najechał Frydrychowskiego i poranił go w taki sposób, iż poraniony z téj rany umarł.

Atoli susceptant sprawił, iż ta żałoba do *regestru* swojego nie weszła; takim sposobem sprawa upadła sama przez się. Urząd *instygatorski* popierać jéj nie będzie, ile żeto nie było wolą Frydrychowskiego, który owszem w testamencie swoim wyraźnie zalecił, ażeby syn, tegoż sukcesor, żadnych w tym względzie nie rozpoczynał prawnych kroków, i nie żałował na Chebdę.

»Nie chciałem,« mówił daléj pan susceptant »*aberare* od sentymentów przyjaźni dla wpana i brata, które *indelibili charactere* w mojém zapisały się sercu, i w téj sprawie mniemam postąpiłem tak, jak nakazywały zawsze życzliwe moje ku niemu chęci. Końcem zaspokojenia go w téj mierze, mam owóż ze sobą kopiję testamentu ś.p: pana Frydrychowskiego, którą, jeźli wola, wraz zaintymuję.«

To powiedziawszy wydobył rzeczoną kopiję testamentu i wręczył ją Chebdzie, który nie bez smutnego wzruszenia rozwinąwszy papiér, czytać zaczął. Testament Frydrychowskiego takiéj był osnowy:

»Widząc się być już blizkim śmierci, wzbu»dzam w sobie tę pocieszającą wiarę, która »jak mnie wspiérała w życiu, tak teraz osta»tnie osładza momenta — tę wiarę, że Bóg »litościwy miłosierdzie nademną mieć będzie, »i tym ułomnościom, których słaby człowiek »winien się stałem, przebaczy. Byłem czło»wiekiem grzesznym, jako inni ludzie, alić »nie byłem nigdy krzywdzicielem bliźniego; »nie znałem złości i zdradziectwa, nie znałem

»podłéj zemsty. I tobie mój synu błogosławieństwem zalecam, nie pragniéj zemsty na »Chebdzie, który sprawcą jest śmierci mojéj, »nie wszczynaj żadnego z tym człowiekiem »procesu. Nie zemsta, ale darowanie winy »jest cnotą, przy cnocie zawdy stój mój synu, »mój drogi. Karę za zbrodnie zostawmy »sędziemu w niebie; on zna serca ludzkie, a »wielkość winy Bóg jeden sądzić i ukarać »umié. Gdyby był, gwoli wezwania mego, »mnie wystawiającemu rękę do zgody, podał »swoję, idącemu dziś do przybytku wiecznego, »tam na tamtym świecie, prosiłbym Boga za »nim; ale on Chebda, śmierci mojéj sprawca, »wzgardził słowem, wyszydził prośbę, rękę »zgody odepchnął. Zapozywam go tedy przed »sąd boski; konającémi usty wzywam go do »stawienia się przed Majestat Niebieskiego »Sędzi. Od dziś za rok, w rocznicę mojéj »śmierci stanie tam, gdzie ja dziś będę.«

Daléj następowało rozporządzenie, tyczące się majątku, którego już nie odczytał Chebda. Właśnie, jakoby mgła jaka zaćmiła mu wejrzenie, na twarzy zsiniał na podobieństwo trupa i padł głową na poduszki, jak człowiek z przytomności wyzuty.

Szczęście to było, że Jezierski w porę wrócił z pola, a na wrzaskliwe zawołanie susceptanta o ratunek, przybieżał w pomoc.

Biédny susceptant, albowiem nie umiał leczyć téj rany, którą zadał; nie długo też i bawiąc, odjechał, nie omieszkawszy wynurzyć, iż żałobę, jaką przy otwiéraniu drzwi wynosi z domu tego, nie prędzéj złoży z serca, pokąd zdrowie wpana gospodarza *novam et hilarem* nie przybierze *faciem*, czego po boskiéj pomocy, *non tamen sine cura*, wyglądać będzie.

* * *

Co się z Chebdą działo, powszednie pióro nie podoła tego opisać; właśnie jak i żaden malarz nie umiałby oddać na płótnie wyrazów jego twarzy, na któréj rozpacz swoję wytłoczyła piętno. Przyszedłszy do przytomności i do mowy, piérwsze jego słowo było: »Jestem zapozwany przed sąd Boga. W rocznicę zgonu pokrzywdzonego, za rok, w dzień 1. września, stanę przed Bogiem!... Wzywał mnie do zgody, podawał dłoń bratnią; a jam nie stanął, ręki zgody nie przyjął; biada mnie, biada!«

Jezierski litością wiedzion nad biédnym, usiłował dodać mu otuchy, i to przekonanie, że słowa umiérającego koniecznie spełnić się mają, refleksyjami osłabiał i pokonywał.

Daremnato była robota; nie podołał zachwiać w nim wiary w proroctwo nieboszczyka, nie podołał uspokoić Chebdy, widzącego przed sobą już blizką, a pewną śmierć; żal tego świata, który wkrótce opuścić miał i trwoga przed sądem boskim, kołatała rozpaczającym do tyła, iż na wszystkie czynione mu perswazyje głuchy, jedno głos wewnętrznego przeczucia słyszał i grób otwarty dla siebie zawdy miał przed oczyma. Godny opłakania był stan tego człowieka, a zaiste i litości godny, podobny właśnie do udręczeń delinkwenta, któremu dekret śmierci już odczytano.

Alić o człowieku! który wiesz, że umiérać przeznaczeniem jest twojém, przezco bierzesz pochop do rozpaczy i frasunku z tąd, że masz objawiony sobie kres pielgrzymki? naznaczony dzień, w którym tę ziemię, gościnę twoję opuścić masz? Cóż cię tak przeraża? nie lepiéjże temu, który wiedząc o dniu podróży, wszystkie do swojéj drogi poczyni przygotowania?... Alić tak mocne jest ono przywiązanie do życia, iż ten nawet, który życie ciężarem być mieni, wzdryga się zrzucić z siebie dobrą wolą ten, pod którym stęka, ciężar.*)

Długą, a może i zbyteczną byłoby rzeczą powtarzać one smutki i żale, które rozwodził nieszczęśliwy Chebda. Ucichł nareszcie, jakoby mu już płaczu i słów nie stało. Nadeszła noc, czarnym jego myślom nadając nowéj okropności, zapełniając je widmami i marami. Noc całą paliła się lampa. Przy czuwającym czuwał stary Jezierski. Trzy piérwsze dni Chebda nie tknął się jadła, ani spał.

Czwartego posilił się nieco, a snem pokrzepiony po przebudzeniu się podał rękę Jezierskiemu, jął go pytać o potoczne rzeczy i długo rozmawiał ze starym swoim przyjacielem; nie bez tego wszelako, ażeby śród rozmowy nie wracał czasami do swojéj, co go trapiła myśli, często bowiem powtarzał pytanie, właśnie jak gdyby nie słyszał Jezierskiego dawanych mu odpowiedzi.

*) W Polszcze chęć do samobójstwa nie znaną była, choroba ta, równie jak wiele innych, na ziemi naszéj obcą ręką zaszczepioną została.

Upłynął tydzień jeden i drugi. Luboć Chebda przyszedł znowu do zdrowia, w udręczeniach, które doświadczał, żadnéj folgi nie miał. Te co go dawnéj zajmowały i zatrudniały sprawy domowe i gospodarskie, załatwiał Jezierski. Chebda zobojętniał na wszystko; a bywało, gdy Jezierski zachęcał go do wyjścia w pole, do orzby, albo do gumien, gdzie młócono, dziedzic Chebdówki odpowiadał na to z westchnieniem: »Nie dla mnie to orzą, nie dla mnie młócą!« Nic go nie cieszyło; doniesiono mu o jakiéj szkodzie w polu, lub oborze, nie zmartwiło go to bynajmniéj. Dziwili się dworscy, a czeladź przypisywała to czarownikowi, który że urzekł pana nie było żadnéj o tém wątpliwości.

Już i zima nadchodziła. Już i rok Pański się kończył, nowy nie zwiastował żadnéj dobréj odmiany w smutnym stanie naszego pokutnika.

Ono w dzień S. Jana Chryzostoma, patrona Chebdy, zjechało się gości wiele z gratulacyjami do solenizanta. Jezierski, nie rzekłszy nic, pospraszał na ten dzień znajomych i łaskawych, sprowadził antałek wina z Zatora, i poczynił, jakie należało, do tego festynu przygotowania; wszystko potajemnie, bo tuszył sobie, iż w licznem a wesołém przyjaciół gronie, by na chwilę Chebda zapomni o tym, co mu dolega smutku.

Stało się jak przewidział; owszem, Chebda nie tylko o smutku zapomniał, ale rozochocony towarzystwem i winem, oddał się zupełnéj wesołości, a kiedy rozochoconą kompaniję jeden z sąsiadów do swego domku zaprosił, Chebda nie odstrychnął się od towarzystwa.

Po kolei przeniosła się szlachta do trzeciego, potém do czwartego z sąsiednich dworów; spłynął jeden, spłynął i drugi tydzień na ustawnych ochotach i bankietach.

Na ostatki cała biesiadnicza kompanija zwaliła się kuligiem do kasztelana Oświecimskiego do Zatora, z nią i Chebda z Jezierskim.

Kasztelan wystąpił suto i spaniale. Na bankiecie wyprawionym na zamku Zatorskim było sto osób. Obiad na dwa stoły, po obiedzie tańce, młodzież przy paniach, starsi przy kielichu. Już i zdrowia zabrakło i konceptów ochoczemu gospodarzowi. Było już *pomyślności* po raz trzeci *nie ustającéj łaski*, *et caetera.* Jezierski lubo się radował, widząc Chebdę w wesołości i ochocie nie ustępującego innym, wszakże około północy, dopadłszy sposobnéj chwili, odciągnął go na stronę i szepnął na ucho:

»Panie Frańciszku nie będzie tego nadto? Ostrożnie zaglądajcie do kieliszka, bo ta podagra wasza upomni się o swoje.«

»Jegomość ma prawdę,« odrzekł Chebda, »trzeba pofolgować ochocie.«

»Pan Frańciszek możeby się przespał trochę?«

»To trudno, przy takiéj wrzawie; raczéj wyjdźmy sobie na świéże powietrze, to i głowa prędzéj wyszumi.«

Cichaczem, nie mówiąc nikomu, wyszli obaj, Chebda z Jezierskim, z zamku po wschodach na podwórze. Noc była miesięczna, jasna jak dzień. Głosy wykrzykujących, granie kapeli i tupot taneczników, dobrze słychać było i na dole, ale im więcéj oddalali się od zamku, tém mniéj było słychać do fary; nie dochodziła już wrzawa.

Minęli farę, na zakręcie uliczki co prowadzi na rynek, zatrzymał się Chebda.

»Może się wrócim?« zapytał Jezierski.

»Proszę o tabakierkę,« rzekł Chebda.

»I owszem, suplikuję,« rzekł Jezierski i dostał tabakierki śrebrnéj, któréj na wielką tylko galę używał.«

»Mam z Jegomością co do mówienia,« rzekł Chebda.

»Słucham pana Frańciszka.«

»*Dishonor* mnie spotkał w domu kasztelana,« rzekł Chebda.

»Jakto?« zadziwił się takową mową słuchający go Jezierski.

»Żem ja mospanie (mówił daléj Chebda w zapał wpadając) podupadł na majątku, zawszem mospanie szlachcic, po mieczu i kądzieli; Pomiańczykiem nie pomiataj, do stu dziadów! Pas lity czy nie lity; w każdym czasie szabla jest przy pasie. Pan kasztelan musi mi dać *satysfakcyja.*«

Jezierski zadziwiony zażądał objaśnienia w téj mierze, na co Chebda:

»*Prevencyi* nie jestem przyjacielem, ale nie pozwolę na to, ażeby mnie *posponowano*, a dla czegoż proszę usadowiono mnie przy marszałkowskim stole? he?... albożto ja na chlebie u kasztelana? w barwie jego chodzę? czy co?... Nie stałem nigdy za stołkiem niczyim... gdybym był nie uważał na kompaniję, byłbym już ja nauczył tego

panka, *pospolitować* mnie do takiego stopnia. Mospanie...«

Jezierski, nie przerywając mówiącemu, radował się w duchu, tak myśląc sobie: »Już ty z choroby twojéj umysłowéj wyleczon jesteś i ze światem pogodzony znowu, kiedy cię zajmują takie marne rzeczy. Gniewaj się nieboże gniewaj, a ja cieszę się z tego gniewu twego.«

Tak myślał starowina, ale Chebda nie żartem się odgrażał na kasztelana, mówiąc: »Już jabym był narobił konfuzyi w domu, gdybym nie był baczył na to... ale (dodał) cóż ja tam baczę, jakaż tam oto stoi niewiasta, biała, nieruchoma, widzi Jegomość?«

»Gdzie? tam? przed tym domkiem? widzę iście to niewiasta, ale ciała kamiennego, to *statua* jeno; stoimy przed pomieszkaniem tego Szlązaka kamieniarza, coto nagrobki robi.«

»Z doprawdy, a mnie się zdało... przybliżmy się i z blizka przypatrzmy się téj kamiennéj pani.« I zbliżyli się do domku, przed którego oknami leżały bezładnie płyty kamienne, nie obrobione jeszcze, a między témi kilka ukończonych już nagrobków. Chebda nachylił się ku jednemu, co miał kształt sarkofagu. Miesiąc przeświécał jasno, można było odczytać napis wyryty na nim, a był ten:

D. O. M.
Fryderyk Frydrychowski
zasnął śmiercią sprawiedliwych
dnia 1. Września.
Czeka na sąd ostateczny.

Byłto nagrobek, przeznaczony na cmentarz w Frydrychowicach, gdzie złożono zwłoki Frydrychowskiego.

Te wyrazy na kamieniu okropne sprawiły wrażenie na czytającym. Chebdę na pół żywego odwieziono do domu.

Cztéry tygodnie z przytomności obrany, przeleżał na łożu, biédniejszy od Łazarza.

Dnia 1. lipca, pokrzepiony na siłach ciała i duszy, napisał testament.

Dnia 1. sierpnia kazał trunnę robić i habit mniszy dla siebie, i posłał po woskowe świéce do Krakowa. Każdy dzień miesiąca tego był dla Chebdy jakoby jednym gradusem, zbliżającym go do grobu, a lubo siły miał zdrowego człowieka, na twarzy bladość umarłego była, z dniem każdym większa i okropniejsza.

Dnia 31. sierpnia posłał po księdza, wyspowiadał się, świętości pańskie przyjął; wieczorkiem, usiadłszy w ganku przed domem (bo zdrowym będąc zupełnie łoża nie zalégał), płacząc żegnał się ze wszystkimi, żegnał czeladź dworską i gromadę, która licznie się na rozkaz pański zebrała. Pamiętał o każdym, każdemu na pamiątkę coś ofiarował, a był z poddanych który pokrzywdzony od niego dawniéj, w dniu tym hojne wynagrodzenie odebrał. Po nocy przepędzonéj na modlitwach i rozpamiętywaniach, skoro rozwidniać się zaczynało, Chebda rzucił się w objęcie Jezierskiego, który śród łkania już i żadnych jemu reflexyj nie czynił. Poczém odział się w habit, w oknie stojąc, a pacierze mówiąc wyglądał wschodu słońca. Słońce zeszło, Chebda przeżegnał się, paciorki w jednę, pasyjkę w drugą rękę wziął i powolnym krokiem wstąpił do przyległéj izby, gdzie wedle woli jego, któréj nie śmiał się opiérać Jezierski, leżała na środku trunna otwarta; świéce na wysokich lichtarzach, dokoła poustawiane, nie paliły się jeszcze. Chebda, zbliżając się do trunny, raz jeszcze wzniósł oczy ku niebu, pocałował pasyjkę, wszedł do trunny i w niéj położył się w postawie umarłego.

Dzień cały leżał na podobieństwo trupa, tylko że przesuwał paciorki różańca i pacierze odmawiał do zachodu słońca; słońce zapadło w ziemię. Jezierski przystąpił do leżącego, wziął go za rękę i westchnął: »*Requiem aeternam dona ei Domine!*« — bo przyjaciel jego już nie żył.

TALMA I KEMBLE.

W jednym z dzienników francuzkich czytamy: Talma robił wielkie przygotowania do wystąpienia w roli arcykapłana w trajedyi *Atalia*. Paryż z przedstawy téj cuda sobie obiecywał. Wiadomość o tém przeleciała przez kanał do Londynu i w duszy pewnego człowieka wzniecila najmocniejsze życzenie być świadkiem tryumfu Talmy. Człowiekiem tym był Kemble. Mało zostawało mu czasu. Dzień, w którym *Atalia* zdumionéj publiczności teatru *français* przestawianą być miała, tak był już blizko, że podróż do Paryża musiałaby się równać podróży gońca. Kemble pospiesza do Doweru; przebywa ciaśninę morską; podwójnie zapłacone konie pędzą z piérwszym mimikiem Anglii do stolicy francuzkiéj. Przybywa, lecz jeszcze tylko godzina czasu do podniesienia kortyny. Artysta nie traci ani chwili na przebranie się, nic nie jé, ani odpoczywa;... to wszystko może miéć w Londynie,

ten jedyny cel mając przed oczyma, ażeby widział Talmę, prosto z powozu leci do kasy teatralnéj. »Proszę dać mi lożę,« zawołał. — »Nié ma żadnéj.« — »To jakie inne wygodne miejsce, ile można najbliżéj sceny!« — »W całym teatrze nié ma ani piędzi miejsca do sprzedania.« — »Dam luidora.« — »Choćby i tysiąc!« Zmieszany Anglik odstępuje od kasy i nie długo się namyśla, bo upragniona chwila się zbliża; kupuje bilet na parter i wciska się w tłum publiczności. Już tam widzów jak nabił; tak zwani *chevaliers du lustre* składają czoło parteru, około nich kupią się partyje. Kemble musiał przy drzwiach pozostać. Jako cudzoziemiec cóż on mógł tam zrozumiéć? co widziéć z nieporównanéj mimiki swojego wielkiego współzawodnika?! Dręczy się, stoi jak na szpilkach i chciałby na inne przejść miejsce, ale dokąd? Nigdzie najmniéjszego wolnego przystępu, i zaledwo przy drzwiach ustać może, tak ciągle obok stojący depcą go po nogach. Potrzeba mury przebija, zatém i etykietę przełamać jest w stanie. W loży tuż przy saméj scenie spostrzega dwie tylko osoby, mężczyznę i kobiétę, w oczach jego o jakże szczęśliwą parę, tak blizko sceny i tak wygodnie. Loża mogła pomieścić najmniéj jeszcze cztéry osoby, dla czegoż on, jeden tylko, nie miałby do niéj być przyjętym? Nie namyślając się długo idzie do loży, i każe wywołać jéj właściciela — byłto Sosthénes de la Rochefoucauld. Przemawiając piękną francuzczyzną mieni się być cudzoziemcem, który umyślnie przybył z za morza, by podziwiać Talmę, a teraz dla braku miejsca zamiaru podróży swojéj dopiąć nie jest w stanie. Grzeczność francuzka pokonywa nieprzyjemne wrażenie, sprawione przez zprószony w podróży ubior gościa. Właściciel loży prosi z sobą spragnionego widoku Talmy przybysza, chociaż ten nie wymienił swojego nazwiska, w kilku słowach rzecz całą opowiada swéj żonie i Kemble grzecznie przeprosiwszy damę, zajmuje próżne obok niéj krzesło. Wystrojona Francuzka z pod oka pogląda na swojego sąsiada, a zrażona cokolwiek jego zaniedbaną toaletą, bliżéj się do męża przysuwa. Kemble ani widzi tego, ani myśli o tém: całą myśl jego zajmuje Talma, ma tylko oczy, by na niego patrzéć. Sztuka się zaczyna. Talma występuje, gra, wzbudza oklaski... w oczach Anglika jaśnieje promień radości; w rysach twarzy maluje się każde wzruszenie duszy. Między aktami daje na zapytania grzecznych posiadaczy loży roztargnione, urywane odpowiedzi; — dusza jego napełniona porównaniami tragiki obu narodów. To, czego mu brakuje, zamyśla sobie przyswoić, lubo w szlachetném własném przekonaniu przyznaje sobie, że ma także własności w grze, których mu sam Talma nie zaprzeczy. Lecz gdy arcykapłan w akcie czwartym wyrzeka piorunującym głosem swoje nad Jerozolimą proroctwo, gdy Talma w wielkości bohatéra stanął na szczycie swéj sztuki, opromieniony łuną bożyszcza, zapomniał Anglik o wszelkich rozbiorach; cała istność jego spływa w jedno uczucie — w uczucie podziwienia. Widocznie rośnie z loży; usta jego na pół otwarte, wzrok wytężony; zapomina o swoich sąsiadach, o publiczności, o świecie. Nie jest w stanie słowa wymówić. Dopiéro uniesienie widzów w końcu aktu wyrywa go z marzeń zachwycenia, a gdy znowu cisza nastąpiła, lekkie westchnienie wypłynęło mu piersi; teraz dopiéro głośno i z całą mocą swojego wprawionego organu, zawołał pośród tego anti-angielskiego zgromadzenia: »*Beautyfull, most beautyfull!* (Pięknie, bardzo pięknie!)« Śmiech powszechny i głośne sykanie było odpowiedzią na ten wykrzyk, a przestraszony czciciel gry Talmy ujrzał się przedmiotem pośmiewiska kilku tysięcy widzów. La Rochefoucauld i małżonka jego uważają się za skompromitowanych w najwyższym stopniu; ich lożę spotkało to, co mogło być najgorszego w świecie: *un ridicule!* La Rochefoucauld walczy z sobą, czy ma natrętnika napomniéć, czy zapytać o przyczynę takiego zachowania się. Jego pani zaś tak dalece odsuwa się od tego bez wszelkiéj przyzwoitości człowieka, że męża aż w sam kąt wciska. Na raz, jeden z Anglików poznaje z parteru sławnego swojego ziomka (*countryman*). »Kemble jest tu!« te słowa z ust do ust przebiegają po całym teatrze. Gdzie? Gdzie? »Tam, w loży Rochefoucauldów!« Śmieszny wyraz *beautyfull* zmienia się na raz w największy kompliment, jaki mógł być tylko sztuce francuzkiéj powiedziany. Całe zgromadzenie obraca się czołem ku Kemblemu; długim, grzmiącym wita go oklaskiem. On go do siebie nie bierze. »*Vive Kemble!*« wykrzykuje razem mnóstwo głosów. Teraz Kemble już bynajmniéj nie wątpi; podnosi się, kłania się na wszystkie strony, ze łzami w oczach i w milczeniu wskazując na scenę, jak gdyby chciał powiedziéć: Wszystka wasza miłość jemu przynależy! Nowe oklaski. Właściciel loży przychodzi do siebie z odurzenia, raduje się poznawszy kogo ma przy swoim boku; żona jego, jakto mówią, odsuwa się od swego męża, a przysuwa do Kemblego, jak tylko można najbliżéj. W ostatnim akcie oklaski dzielą się po między Talmę i jego angielskiego współzawodnika i śród hucznego zapału widzów kończy się sztuka. Kemble zrywa się; radby zleciał na scenę; grzecznemu gospodarzowi dziękuje czule, ale krótko. Tak gospodarz jakoteż gospodyni proszą go by ich odwiedził. Przyrzeka wszystko czego tylko żądają, by się jak najprędzéj oddalić. Chciano wiedziéć jego zdanie. Na dzień następny przyobiecuje całą rozprawę, byle mu tą

razą tylko dano pokój. Wylatuje nareszcie z loży, więcéj biegnie jak idzie przez wschody, spieszy za kulisy i tam dwaj najwięksi swojego czasu tragicy — uściskali się jak najserdeczniéj.

— Ze Lwowa. —

PUBLICZNA WYSTAWA OBRAZÓW.

Otworzona od dnia 8. b. m. *wystawa obrazów* na dochód głuchoniemych tutejszego zakładu, obejmuje, rozmaitych szkół, 631 dzieł malarskich, z których wiele jest utworem najznakomitszych mistrzów. Nie wyliczając wszystkich, gdyżby to szczupły zakres pisma naszego przechodziło i odsyłając ciekawych do drukowanego katalogu, którego przy wystawie dostać można, wymieniamy imiona przedniejszych malarzy, których utwory podziwialiśmy w tutejszym zbiorze. Oto są: Alta-Monte, Bourgigon, Brand, Callot, Canaletti, Carlo Dolce, Carofolo, Casanova, Crespi, van Dyck, Drechsler, Dürrer Alb., Gerardo de la Notte, Giordano Luca, Grassi, Guido Reni, Hamilton, Lampi *(sen. et jun.)*, Mengs, Murillo, Palma, Peters, Rembrandt, Rosa Salvator, Rubens, Solimene, Spangoletto, Teniers, Tintoretto, Velasquez, Veronese Paulo, Wouvermann, Wudky. Tyle znakomitszych imion obcych malarzy obejmuje wystawa tutejsza, lecz i nasi krajowi, lub do szkoły polskiej należący, przyczynili się płodami swojemi do jéj ubogacenia, jakoto panie: hr. Dulska, hr. Humnicka, Szeptycka, pp. Brodowski, Chodowiecki, Enkert, Jabłoński, Knapp, Lange, Reichan *(sen. et jun.)*, Schweigart, Szmuglewicz, Wojnakowski. — Kończąc nie możemy tutaj pominąć téj uwagi, ile zbiór ten obrazów tak estetyczną wartością swoją, jakoteż harmonijnem ułożeniem, sprawił nam prawdziwéj rozkoszy. Samych obrazów, będących własnością pana Lauba, jest 105, które tak numerycznie, jakoteż doborem, znacznie podniosły piękność wystawy tutejszéj.

— Z Rossyi. —

Z kronik wiadomo, że wielki książę Jarosław Włodzimierowicz, rozszerzywszy Kijów, około r. 1037, opasał go murem i nazwał *Złotą*, bramę główną, nad którą wznosiła się cerkiew Zwiastowania Panny Maryi. Brama ta w poźniejszych czasach zmieniła się w ruinę, lecz rozwaliny jéj widocznemi były jeszcze do połowéj 17go wieku, czego dowodem jest rysunek z nich zdjęty w roku 1651, poźniéj znaleziony pomiędzy papierami króla polskiego, Stanisława Augusta Poniatowskiego, i umieszczony w *Archiwum północnem* r. 1822 N. 1. Za panowania cesarzowéj Anny Joanównéj rozwaliny te, w czasie fortyfikowania Starego Kijowa, zupełnie ziemią przysypane zostały, i tym sposobem ukrywały się w wałach fortecznych aż do trzeciego dziesiątka lat bieżącego wieku. — P. Łochwicki, mieszkający w Kijowie, otrzymawszy od tamecznego wojennego gubernatora pozwolenie poszukiwania starożytności w tém mieście, zajął się odgrzebaniem tego pomnika, i już w r. 1832 odkrył był szczątki dwóch ścian, które składały dawną bramę *Złotą*, a w r. 1833, prowadząc daléj roboty odkopywania kosztem własnym (wprzódy bowiem podejmowano je kosztem składki prywatnéj), uzupełnił odkrycie. Na ten przedmiot uchwałą komitetu pp. Ministrów przeznaczonem teraz zostało wydanie 2.917 rub. 20 kop., oprócz 1,500 rub. ze skarbu, do rozporządzenia wojen. gubernatora kijowskiego corocznie, na wyszukiwanie w Kijowie starożytności ojczystych. Uskuteczniwszy w czerwcu r. 1834 uprzątnienie ziemi, zajęto się zaraz przygotowaniem napisu, który w roku następnym został na Bramie Złotéj położonym; jestto tablica kamienna z literami i ozdobami mosiężnemi, pozłacanemi w ogniu. Przy odkopywaniu Bramy Złotéj znaleziono niektóre rzeczy, do starożytnego rynsztunku jeźdzca należące, jakoto: dzidę z kółkiem i drzewcem, strzałę tatarską żelazną, wędzidło i podkowę, łańcuszek żelazny od munsztuku, a prócz tego 6 karatów złota w blaszkach od Bramy Złotéj i dwa żelazne wieńce od obrazu. Złoto, wieńce, dzidę i strzałę złożył pan Łochwicki w uniwersytecie Ś. Włodzimierza, wraz z cegłą z Bramy Złotéj i tablicą łupkową rozbitą, na któréj wyryty jest krzyż w kole, a którą pan Łochwicki uważa za kamień węgielny niegdyś na tem miejscu stojącéj cerkwi Zwiastowania. (Z Dzień. Minist. Ośw.)

Przy uniwersytecie kazańskim założono katedrę języka chińskiego, i mianowano do niej na profesora zwyczajnego, archimandrytę Złatoustowskiego w Moskwie monasteru Daniela, który uczył się tego języka w Pekinie. Nadto ministerstwo ośw. pozwoliło nabyć dla uniwersytetu kazańskiego za 5000 rub. zbiór ksiąg i rękopisów chińskich, przez archimandrytę w Pekinie kupiony. — Takim sposobem ustanowiona została pierwsza w Rossyi katedra języka chińskiego, w uniwersytecie, który już posiada trzy katedry wschodnich języków, jakoto: 1) arabskiego i perskiego; 2) tureckiego i tatarskiego; 3) mongolskiego; i gdzie nadto jeden uczeń pod przewodnictwem buriatskiego *lamy* gotuje się na nauczyciela języka tybetańskiego. (Tyg. Petr.)

* * *

Najnowszém dziełem w narzeczu mało-ruskiém (naszych Rusinów), zasługującém na uwagę wszystkich miłośników literatury sławiańskiéj, jest wydany w Peszcie noworocznik na r. 1837: *Rusałka Dniestrowaja*, pierwszy w tém narzeczu, drukowany nowo-ruskiemi czcionkami. Zawiera: 1) Ruskie pieśni gminne. 2) Przekłady utworów sławiańskich z innych narzeczy: *a)* Serbskie pieśni gminne; *b)* Pieśni ludu czeskiego. 3) Starożytności *(Starjna.) (Serbskji narodnyi Ljst N. XVI.)*

Sławny skrzypek Ganiewicz, Polak, który czas długi w Londynie przebywał, bawi teraz z rodziną swoją w stolicy Szkocyi. Styl jego należy do najszlachetniéjszéj szkoły, to jest do szkoły Viottego, lecz ogień pełnéj wyrazu i godności gry jego, jest własną jego zasługą.

Dziennik amerykański *Georgia-Messenger* utrzymuje, że niejaki dr. Stringfellow wynalazł nareszcie długo poszukiwane *perpetuum mobile*. Jestto całkiem prosta i tylko z kilku kawałków składająca się machina. Ma 18 cali w czworogran i składa się: z dwóch prostopadłych kołowrotów, dwóch horyzontalnych kółek, jednego walca, trzech łańcuszków, sprężyny, wagi i małéj pochylonéj tablicy.

W miasteczku Huddersfield, w Anglii, wszystkie domy są własnością sir Johna Ramsden, wyjąwszy jeden, należący do pewnego kwakra. Ten nie chce go za żadną cenę panu Ramsden odstąpić, ażeby módz powiedzieć: że teraz całe miasteczko Huddersfield li do niego i do sir Johna należy.

Roku 1836 odpłynęło z Afryki 176 *okrętów z niewolnikami*, z których na każdym było po 400 murzynów! Przeto w jednym roku 68.000 tych nieszczęśliwych ojczyznie ich wydarto!!

Nie dawno w Kennington, w Anglii, zamknięto wdowę, Elżbiétę Cobbell, mającą dziwne urojenia. Twierdzi, że nigdy zamężnią nie była, lubo ma czworo dzieci, które z nią razem mieszkały. Namiętnie polubiła Wirgiliusza, a chociaż po łacinie ani słowa nie rozumie, co dzień od rana do wieczora czytywała jego *Eneidę*.

O całowaniu. Przed ostatnim sądem *asizów* w Middlessex, w Anglii, stawiła się młoda dziewczyna, oskarżona o to, że Tomaszowi Saverlane *nos odgryzła*. Obżałowany opowiadał, że był w gospodzie, gdzie się także oskarżona z swoją siostrą znajdowała. Ostatnia

opowiadała śmiejąc się, że przyrzekła mężowi, iż przez dzień cały nie da się żadnemu mężczyznie pocałować. Saverlane, uważając to za zaczepkę, pocałował młodą mężatkę, co ona za żart przyjęła; to rozgniewało jej siostrę, a Saverlane pogroził, że gdy milczéć nie będzie, to i ją pocałuje, jakoż spróbował to w istocie. Dziewczyna broniła się, a gdy Saverlane coraz natrętniejszym się stawał, odkąsiła mu kawałek nosa. Sąd przysięgłych uwolnił oskarżoną, a skarżycielowi oświadczył: że kto chce zerwać różę, i kolce jéj znieść powinien.

O wyprawie księżnéj Orleańskiéj. Wyprawa księżnéj Orleańskiéj (księżniczki Meklenbursko-szweryńskiej) co do bogactwa, przepychu i smaku, wszystko dotąd widziane przewyższa. O szczegółach téj kosztownéj wyprawy mamy wprawdzie tylko urywkowe wiadomości, wszelako więcéj jeszcze, niżbyśmy sami powtórzyć tu mogli, bo jakże opisywać rzeczy, których urok czyli raczéj czarodziejstwo bynajmniéj skreślić się nie da. Któż pojmie li z samego opisania ową zalotną piękność sukni codziennéj z białego indyjskiego kaszemiru, podszytéj białą kitajką? lub rzadką spaniałość innego znowu rodzaju sukni z ciemnego kaszemiru, w cudotworne chińskie desenie, w pomieszane razem kwiaty i ptaki? Ograniczamy się tylko na kilku osobliwszych przedmiotach. Za najcudotworniejsze dzieło sztuki, w którém nowy oryginalny pomysł w najprostszéj uzmysłowił się formie, chwalą słomą przerabianą suknię. Opis jéj, nam przynajmniéj nie ze wszystkiem jasny, umieszczamy w oryginale; piękne czytelniczki nasze, dla których li ten artykuł napisany, same z właściwym sobie talentem wykładania pojmą istotę rzeczy. Opisy tego rodzaju w każdym przekładzie tak się niezgrabnie wydają, jak w przedmiotach pięknéj literatury lekki dowcip francuzki na inny język kopiowany. Oto jest oryginalny opis francuzki: *Figurez vous une broderie brillante et délicate comme la soie, aussi souple, aussi légère que la soie, ayant si peu fatigué une mousseline de l'Inde, que l'on cherche le passage de l'aiguille, et q'on n'en trouve pas la trace. Quadrille dentelée en lozanges, volant surmonté de quelques bouquets jetés, choises avec une application pleine de finesse et d'esprit. Ce sont des épis et des barbeaux, images parlantes de ce fil naturel dont l'effet est d'une douceur extrême sur le tissu transparent.* Pisma francuzkie wypaplały także o tajnym artykule podwiązek, rozumie się, iż tylko podwiązek od parady. Te są złotolite, roboty najwytworniejszéj i wyobrażają rozwiniętego węża. Elastyczna łuska na wężu, osadzona drogiemi kamieniami, mieni się tak różnobarwnie ze złotem, jak jaszczurka, gdy się w nową skórę przeoblecze. Miasto Paryż ofiarowało w darze księżnie sprzęt jeden, uzupełniający godnie te cuda toalety. Jestto przepyszne zwierciadło całkiem z malachitu i bronzu, nad którém wyczerpywali sztukę swoję najznakomitsi paryzcy bronzownicy. Cztery słupy z malachitu, obwiedzione ślicznie robionemi wieńcami kwiatów, i płaskorzeźbami z wyzłacanego bronzu, podpierają trzy zwierciadła; te składają tylną, zupełnie jednostajną zwierciadlaną ścianę. Lecz gdy młoda księżna na bal ustrojona, zechce obaczyć, ażali czego jeszcze do jéj toalety nie dostaje, i czy istotnie będzie królową balu, potrzebuje tylko pocisnąć sprężynę, a jednostajne zwierciadło, za pomocą dowcipnego mechanizmu, tak się na części podzieli, że księżna ujrzy postać swoję przynajmniéj dziesięćkrotnie ze wszystkich stron odbitą. Przyozdobienia u góry zwierciadła również z malachitu i bronzu, są w wielkim ale pojedynczym stylu: bożkowie miłości, zwijający i przypinający uploty z kwiatów; wazy z malachitu suto bronzem wykładane, a w środku tarcza z napisem, trzymana przez dwa bożki miłości.

Malarz hiszpański Velasquez i Filip IV. Filip IV urządził był dla malarza Velasquez pracownię w swoim pałacu i jak tylko sprawy państwa pozwalały mu na to, szedł do artysty, którego robotom chętnie się przypatrywał, i w którego obcowaniu znajdował przyjemność. Velasquez malował portrety rodziny Filipa IV. i dostał pozwolenie od króla, siebie także na tym obrazie przedstawić. Gdy był obraz skończony, rzekł król do malarza: »Przedziwnie, ale jednak brakuje tu czegoś.« Artysta zmieszał się, uczuł się w próżności swojéj dotkniętym, i zapytawszy w czém na tę naganę zasłużył, dodał, że według jego zdania obraz zupełnie jest skończony. »To czego nie dostaje sam dodam,« odrzekł król, a Velasquez bardziéj się jeszcze przestraszył. Władzca Hiszpanów, w którego państwach słońce nie zachodziło, był niezmiernie niezgrabny, drżąc przeto z obawy, podał mu artysta pęzel i paletę. Filip przystąpiwszy do obrazu, na lewym boku piersi swojego ulubionego artysty odmalował krzyż orderu Śgo Jakóba — największe wyszczególnienie w monarchii. »Tego mój kochany Velasquez nie dostawało obrazowi,« rzecze król, ukończywszy swoję robotę. Ta ręką króla namazana na obrazie gwiazda orderu, podniosła obraz do wartości historycznéj.

Kartofle. Historyja kartofli jest wielkim dowodem wpływu władzy monarchicznéj; przeszło dwa wieki nieoceniona roślina ta znajdowała we Francyi najmocniejszych przeciwników; nareszcie król Ludwik XV. przypiął raz pośród dworzan bukiet z kwiatów kartoflanych do swojego boku i odtąd tak sadzenie, jakoteż używanie kartofli natychmiast się po całéj Francyi upowszechniło.

Bruk ze srebra. Lima, teraźniejsza stolica południowo-amerykańskiéj rzeczypospolitéj Peru, pod panowaniem hiszpańskiem tak była bogatą, że kupcy tamtejsi, na cześć wice-króla, księcia de la Plata, gdy obejmował ster rządu téj prowincyi, *płytami srebra* wybrukować kazali drogę, którędy do swojego pałacu przejeżdżał.

Raj utracony. Milton był w młodości swojéj rzadkiéj urody. Ucząc się jeszcze w Cambridge, poszedł raz z kilku przyjaciołmi na przechadzkę za bramę miasta, a czując się być utrudzonym, usiadł w cieniu drzew i usnął; koledzy zostawiwszy go śpiącym, sami odeszli. Niebawem poprzed Miltona przejeżdżał kabryjolet. Jadące w nim dwie damy wysiadły i przypatrywały się pięknemu młodzieńcowi. Jedna z nich po niejakiéj chwili wyjęła ćwiarteczkę papieru, napisała kilka wierszy ołówkiem i śpiącemu wsunęła po cichu pod rękę. Wykonawszy to, wsiadły damy i odjechały. Przyjaciele uważając to z daleka, wrócili z ciekawością cobyto było i na zastawionéj karteczce wyczytali następujące wierszyki z Guariniego *Pastor fido*:

Oczy zdrojem snu uśpione,
Wy niecąc męczarnię lubą,
Grozicie mi choć zamknione
Nieodzownéj śmierci zgubą;
Czémbyście mi zagroziły
Gdybyście otwarte były?

Rzecz naturalna, że zbudzono Miltona, opowiedziano mu ten wypadek i wręczono karteczkę. Piękność damy z takim opisywano mu zapałem, że nieznajoma opanowawszy serce młodziana, odtąd mu z myśli nie wyszła. Szukał jéj wszędzie, zbiegł za nią całą swoję ojczyznę, a domyśliwając się z wierszy, że musi być Włoszką, pędzony niepokojem serca do Włoch podróżował. Nie znalazł tam wprawdzie nieznanéj swojéj kochanki, ale za to materyjały do swego poematu: *Raj utracony*.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*